



Opowieści
z
NARNII®



Lew, Czarownica i stara szafa

Księżę Kaspian

Podróż „Wędrowca do Świtu”

Srebrne krzesło

Koń i jego chłopiec

Siostrzeniec Czarodzieja

Ostatnia bitwa

C.S. LEWIS



Opowieści
Z
NARNII®



ilustrowała
PAULINE BAYNES

Przełożył
ANDRZEJ POLKOWSKI

MEDIA RODZINA



Tytuł oryginału
The Chronicles of Narnia

Projekt okładki i opracowanie typograficzne
Jacek Grzeskowiak

Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1950, 1951, 1952, 1953, 1954, 1955, 1956
Copyright © for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

The Lion, the With and the Wardrobe Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1950
Prince Caspian Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1951
The Voyage of the „Dawn Treader” Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1952

Illustrations by Pauline Baynes Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1950, 1951,
1952, 1953, 1954, 1955, 1956

Published by Media Rodzina Sp. z o.o. under license from CS Lewis Company Ltd.

The Chronicles of Narnia ®, Narnia ® and all book titles, characters and locales original
to The Chronicles of Narnia are trademarks of CS Lewis Pte Ltd.
Use without permission is strictly prohibited.

www.narnia.com

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie
pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa,
przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz
praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz
książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów
i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów
książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych –
możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody Wydawcy.

ISBN 978-83-8265-151-5

Przekład poprawiony

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład
Scriptor s.c.

Druk
Trans-Druk

Lew, Czarownica
i stara szafa



DO LUCY BARFIELD

*Moja Droga Lucy,
Napisałem tę opowieść dla ciebie, ale kiedy zacząłem ją pisać, nie zdawałem sobie sprawy, że dziewczynki rosna szybciej niż książki. W rezultacie jesteś już za stara na bajki, a kiedy tę książkę wydrukują i oprawią, będziesz jeszcze starsza. Pewnego dnia będziesz jednak dostatecznie stara, aby znowu do bajek wrócić. Możesz wtedy zdjąć tę książkę z jakiejś wysokiej półki, odkurzyć i powiedzieć mi, co o niej myślisz. Prawdopodobnie będę wtedy tak głuchy, że nie będę nic słyszał, i tak stary, że nie będę niczego rozumiał, ale na pewno będę wciąż twoim kochającym cię ojcem chrzestnym,*

C.S. LEWIS



Łucja zagląda do szafy

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. Opowiem wam o tym, co im się przydarzyło. Podczas wojny wysłano je z Londynu na wieś, aby były bezpieczne w okresie bombowych nalotów na miasto. Zamieszkały w domu pewnego starego Profesora, który żył w głębi kraju, na wsi, dziesięć mil od najbliższej stacji kolejowej i dwie mile od najbliższej poczty. Profesor nie miał żony i mieszkał w wielkim starym domu, ze swoją gospodynią, panią Macready, i jej trzema pomocnicami. (Jeżeli już chcecie wiedzieć, to nazywały się Ivy, Margaret i Betty, ale w tej historii nie odegrały większej roli.) Profesor był bardzo stary i miał krzaczastą, białą brodę, która łączyła się z równie siwą czupryną, a rosła tak gęsto i obficie, że na twarzy pozostawało już niewiele wolnego miejsca. Dzieci szybko go polubiły, choć przy pierwszym spotkaniu w drzwiach starego domu wydał im się postacią tak bardzo dziwną, że Łucja (która była najmłodsza) trochę się go przestraszyła, a Edmund (który był następny w kolejności wieku) o mało nie wybuchnął śmiechem; uratowała go chusteczka, w której ukrył twarz udając, że wyciera nos.

Pierwszego wieczora, kiedy dzieci powiedziały już Profesorowi dobranoc, pobiegły na górę do swoich sypialni. Tyle było jednak spraw do omówienia, że przed położeniem się do łóżek chłopcy przyszli do pokoju dziewczynek na krótką naradę.

— No, to się nam udało, nie ma co — powiedział Piotr. — Założę się, że tu będzie fantastycznie. Ten stary pozwoli na wszystko, co tylko nam przyjdzie do głowy.



— Uważam, że to strasznie miły staruszek — powiedziała Zuzanna.

— Och, dajcie spokój — przerwał im Edmund, który był już zmęczony, a pragnął sprawić wrażenie nie zmęczonego, co zawsze wprawiało go w zły humor. — Przestańcie tak gadać.

— To znaczy jak gadać? — spytała Zuzanna. — A w ogóle powinieneś już leżeć w łóżku.

— Próbujesz przemawiać jak mama — powiedział Edmund. — A kim ty właściwie jesteś, że mówisz mi, kiedy mam iść do łóżka? Sama sobie idź do łóżka.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pójdziemy już spać — wtrąciła się Łucja. — Jak usłyszą, że jeszcze rozmawiamy, będzie awantura.

— Nie będzie żadnej awantury — powiedział Piotr. — Mówię wam, że to taki dom, w którym nikt nie będzie sobie specjalnie zawracał głowy tym, co robimy. A zresztą i tak nas nie usłyszą. Z jadalni idzie się tu prawie dziesięć minut przez te wszystkie korytarze i schody.

— Co to za dziwny odgłos?! — spytała nagle Łucja. Nigdy jeszcze nie była w tak dużym domu i na samą myśl o tych wszystkich długich korytarzach, z rzędami drzwi wiodących do pustych pokoiów, ciarki przebiegły jej po plecach.

— To tylko jakiś ptak, głuptasie — powiedział Edmund.

— To sowa — powiedział Piotr. — Wygląda mi na to, że trafiliśmy do prawdziwego rajku dla ptaków. Jeśli chodzi o mnie, to idę do łóżka, a wam radzę zrobić to samo. Od jutra rozpoczynamy badanie okolicy. W takim miejscu można znaleźć rzeczy, o jakich wam się nie śniło. Widzieliście te góry w pobliżu? A te lasy? Tu mogą być orły. Mogą być jelenie. I jastrzębie.

— Borsuki! — dodała Łucja.

— Lisy! — dodał Edmund.

— Króliki! — dodała Zuzanna.

Ale następnego ranka obudziło ich monotonne bębnienie deszczu, tak gęstego, że przez okno nie było widać ani gór, ani lasów, ani nawet strumyka płynącego przez ogród.

— Oczywiście MUSI padać! — stwierdził Edmund. Właśnie skończyli śniadanie z Profesorem i byli już na górze, w pokoju, który

im przydzielono. Był to długi, niski pokój z dwoma oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata.

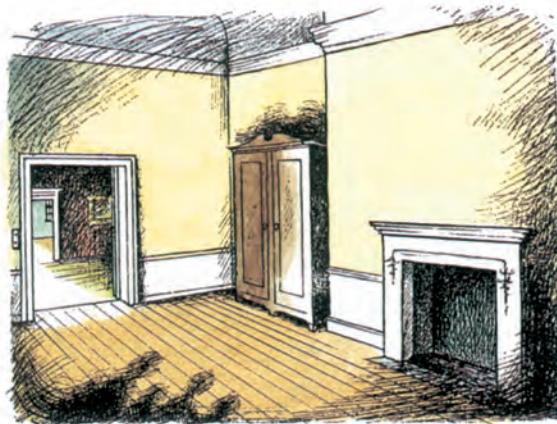
— Och, Edziu, proszę cię, przestań narzekać — powiedziała Zuzanna. — Stawiam dziesięć do jednego, że przejaśni się w ciągu godziny. Tymczasem nie jest tak źle. Mamy radio i mnóstwo książek.

— Jeżeli chodzi o mnie, to na razie nie skorzystam — wtrącił Piotr. — Zamierzam najpierw dokładnie zwiedzić ten dom.

Wszyscy chętnie na to przystali i tak zaczęły się ich przygody. Dom był pełen zakamarków i niespodzianek, wielki, z rodzaju tych wielkich domów, co to zdają się nigdy nie mieć końca. Jak można było się spodziewać kilkoro pierwszych drzwi, które otworzyli, wiodło do pustych sypialni, wkrótce jednak doszli do bardzo długiego pokoju pełnego obrazów na ścianach; odkryli tu kompletną starą zbroję. Dalej był pokój obity zieloną tkaniną, ze stojącą w rogu harfą, następnie przejście prowadzące trzy stopnie w dół, a potem pięć stopni w górę, za nim niewielka komnata z drzwiami na balkon, a dalej cały szereg połączonych ze sobą pomieszczeń z półkami pełnymi książek, przeważnie bardzo starych, niektóre z nich były z pewnością większe od Biblii w kościele. Wkrótce potem dotarli do prawie pustego pokoju, w którym stała stara szafa z dużym lustrem w drzwiach. Nie było tu nic więcej, jeśli nie liczyć stojącej na parapecie pustej butelki z niebieskiego szkła.

— Tu nic nie ma! — stwierdził Piotr i wszyscy poszli dalej. Wszyscy — oprócz Łucji, która pomyślała sobie, że warto by na wszelki wypadek sprawdzić, czy drzwi szafy nie dadzą się otworzyć, choć była prawie pewna, że będą zamknięte. Ku jej zdumieniu otworzyły się z łatwością, a na podłogę wypadły dwie kulki naftaliny.

Kiedy zajrzała do środka, zobaczyła rząd wiszących płaszczy. Były to przeważnie futra, a trzeba wam wiedzieć, że dla Łucji nie było nic miłszego nad zapach i dotyk futer. Nie wahając się ani chwili, weszła do szafy i zanurzyła się w futrach, z rozkoszą wtulając w nie twarz. Oczywiście nie zapomniała o pozostawieniu otwartych drzwi, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio przypadkowo zamknąć się w szafie. Postąpiła krok czy dwa w głąb i stwierdziła, że wewnątrz jest jeszcze drugi rząd płaszczy. Tutaj było już prawie zupełnie ciemno i Łucja wyciągnęła ręce przed siebie, by nie



uderzyć głową w tylną ścianę szafy. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, potem jeszcze dwa lub trzy, wciąż spodziewając się, że końcami palców dotknie drewnianej ściany. Ale nic takiego nie nastąpiło.

„To musi być naprawdę ogromna szafa” — pomyślała, posuwając się wciąż dalej i rozgarniając miękkie futra, aby zrobić sobie miejsce. Nagle zauważyła, że coś skrzypi pod jej nogami. „To chyba kulki naftaliny”, pomyślała i schyliła się, chcąc namacać je ręką. Ale zamiast twardego i gładkiego drewna podłogi wyczuła coś miękkiego, sypkiego i zimnego.

— To bardzo dziwne — powiedziała do siebie i zrobiła jeszcze krok lub dwa.

Teraz jej twarz i ręce przestały wyczuwać miękkość futer, a natknęły się na coś twardego i szorstkiego, a nawet kłującego.

— Ależ to zupełnie przypomina gałęzie drzew! — wykrzyknęła i nagle zauważyła jakieś światło. I to wcale nie kilkanaście centymetrów przed sobą, tam gdzie powinna być tylna ściana szafy, lecz w oddali. W chwilę później zdała sobie sprawę, że stoi pośrodku lasu, jest noc, pod nogami ma najprawdziwszy śnieg, którego płatki wirują w powietrzu.

Łucja trochę się przestraszyła, ale jednocześnie była ciekawa i podniecona. Spojrzała przez ramię za siebie. Między czarnymi pniami drzew wciąż widziała otwarte drzwi szafy, a nawet kawałek pustego pokoju. (Oczywiście zostawiła drzwi otwarte, ponieważ pamiętała, że to bardzo głupio zamknąć się w szafie.) Wyglądało na to,

że w pokoju nadal jest dzieńne światło. „Gdyby coś było nie w porządku, zawsze mogę wrócić” — uspokoiła się i zaczęła iść przez las, skrzyp-skrzyp po śniegu, ku dziwnemu światłu przed sobą.

Kiedy po blisko dziesięciu minutach doszła do światła, przekonała się, że to świeci latarnia na słupie. A kiedy tak stała i patrzyła na nią, rozmyślając, skąd się wzięła latarnia w środku lasu i co robić dalej, usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce potem bardzo dziwna postać z parasolem wynurzyła się spomiędzy drzew i weszła w krąg światła rzucany przez latarnię.



Dziwna istota była tylko trochę wyższa od Łucji. Od pasa w górę przypominała człowieka, ale jej nogi były nogami kozła (pokrytymi czarną, połyskującą w świetle latarni sierścią), a zamiast stóp miała najprawdziwsze kopytka. Miała też ogon, choć w pierwszej chwili Łucja go nie zauważyła, ponieważ był elegancko przewieszony przez trzymającą rozłożony parasol rękę, zapewne po to, aby nie ciągnął się po śniegu. Szyję otulał czerwony, wełniany szalik, a jej skóra miała również lekko czerwoną barwę. Twarz wędrowca była dziw-



na, lecz miła. Miał krótką, ostro zakończoną bródkę i kręjące się włosy, z których wystawały dwa małe różki. W jednej ręce, jak już powiedziałem, trzymał otwarty, biały od śniegu parasol, w drugiej — kilka paczek owiniętych w brązowy papier, jakby wracał z zakupów przed Bożym Narodzeniem.

Był to faun. Kiedy zobaczył Łucję, tak gwałtownie podskoczył z wrażenia, że wszystkie paczki wypadły mu z rąk.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął.

